

Notatka przy okazji opowiadań

Magdalena mi proponuje, żebym do jej przekładu *Sarajewskiego Marlboro* napisał dodatkowy tekst, na przykład trzydzieste opowiadanie. Książka ukaże się po polsku dokładnie ćwierć wieku po oryginale i wiele lat po opublikowaniu w innych językach, więc mogłaby się od nich czymś różnić.

Odpowiadam jej, że to niemożliwe. Pisałem *Sarajewskie Marlboro* dawno. W międzyczasie wszystko się we mnie i wokół mnie zmieniło. Ani jedna komórka w ciele człowieka, który napisał tę książkę, dziś już nie istnieje. Inny świat jest w jego głowie. Można by powiedzieć, że już nie pamiętam, kim ten człowiek był.

W porządku, godzi się Magdalena, wszystko rozumiem.

Kilka miesięcy albo rok później pierwszy nakład polskiego przekładu jest wyczerpany, nie są to wielkie nakłady, ale wydawca planuje nową edycję. Magdalena mi proponuje, żebym napisał do niego dodatkowy tekst, na przykład trzydzieste opowiadanie.

Tu już się zachnąłem! Co ona sobie wyobraża, jak mam to pisać? Mechanicznie, jak maszyna, i z natchnienia Ducha Świętego? Mówię jej, że nie mogę, i najlepiej, żeby książka w drugim polskim wydaniu była taka jak we wszystkich innych. Jej przekład wystarczająco ją odróżnia.

Przychodzi mi jednak na myśl, że u Magdaleny i ludzi takich jak ona – jeśli tacy ludzie jeszcze istnieją – możliwe jest wszystko. W stanie wojennym w Polsce, na początku lat osiemdziesiątych, kiedy nie pozwolono jej pracować w zawodzie, Magdalena jakby za karę poszła na kurs zabawkarski. Zamiast przyjąć to jako upokorzenie, zgodziła się być zabawkarką. Opowiada o tym z humorem.

Nie wiem, nie pamiętam, czy prosiła mnie trzeci raz, czy tylko wspomniała, że mógłbym do drugiego wydania jej przekładu *Sarajewskiego Marlboro* napisać dodatkowe opowiadanie.

Dobrze, odpowiedziałem. Ale opowiadanie nie może być jedno, muszą być trzy.

W porządku.

W końcu nie były trzy, tylko pięć. A potem pisałem dalej. Wyobraziłem sobie nową książkę, która jeśli chodzi o temat, układ opowiadań i strukturę, będzie kopią *Sarajewskiego Marlboro*, choć ani jeden tekst nie będzie powtórzony.

W czasach, kiedy opublikowałem tę książkę, było to wiosną 1994, niektórzy zgryźliwie zauważyli, że nie można pisać o wojnie, kiedy wojna trwa. Trzeba, żeby minęła, żeby w człowieku uspokoiły się wrażenia i przeżycia, żeby powstał sławny historyczny dystans... I spisali *Sarajewskie Marlboro* na straty jako zwyczajne „świadcstwo wojny”, jako dokumentarną dziennikarską prozę. Nie przeszkadzało mi to. Pisałem bowiem te opowiadania, żeby przeżyć i żeby zachować świat, w którym przeżycie ma dla mnie sens, a nie dlatego, żeby ktoś mi wyrażał uznanie.

I oczywiście myślałem wtedy tak, jak myślę i dziś: nic nie musi minąć, żeby stało się tematem literackim. Życie to nie jest to samo co opowieść, ale i w życie, i w opowieść rzucamy się w tej samej chwili, nie licząc się ze skutkami.

Ale jaką książką byłoby *Sarajewskie Marlboro*, gdybym naprawdę czekał, aż minie czas, i gdybym pisał ją dwukrotnie starszy, niż byłem wtedy? Tamte opowiadania pisałem, kiedy miałem dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat, dziś mam pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć. Poza tym, że od dawna martwa jest każda komórka w moim ciele, która pamiętała wojnę, od miasta, w którym się urodziłem i w którym przeżyłem wojnę i oblężenie, jestem prawdopodobnie dalej, niż kiedykolwiek byłem. Między mną i tamtym czasem stoi dorosły, dojrzały człowiek, który ma dokładnie tyle lat, ile miałem podczas tej wojny. Tym człowiekiem jestem ja, tak jak i tamtym człowiekiem byłem ja.

Trzej do Kartalu to książka tego drugiego człowieka, którego opowiadania mówią o tym samym, o czym mówiły te z *Sarajewskiego Marlboro*. Teraz chcę, żeby upłynęło jeszcze

trochę czasu, abym opowiadania z jednej książki mógł przeczytać jednocześnie z tymi z drugiej.

Jestem wdzięczny Magdalenie Petryńskiej, że nie zgodziła się z moją odmową, lecz nalegała dalej.